


MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki” 2017
w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Sierpnie

Mylą mi się sierpnie. Któregoś roku w całej okolicy zgasło światło. Rano przyjechali z energetyki, mieli już te białe land rovery, które im kupiła Unia. Powiedzieli, że do skrzynki włożył ślimak i spowodował zwarcie. Samobójczy atak na infrastrukturę energetyczną. – Nie nadążamy z takimi zgłoszeniami – powiedział monter.

Kiedyś było lato szerszeni: gniazdo na strychu, telefony do straży pożarnej. Wtedy też ktoś przyjechał land roverem. Przywiózł spray. – Nie lubię tego robić – powiedział.

Był rok, kiedy specjalnie kupowaliśmy słoneczniki, żeby patrzeć, jak kowaliki wydziobują ziarna. To jeszcze zanim sąsiad sprawił sobie dwa koty.

Był rok, kiedy w okolicy otworzyli Biedronkę i wszyscy znajomi zachwycali się portugalskimi winami za dziesięć złotych. To musiało być na przełomie wieków, bo nagle wszyscy się znali na winach. Te z Biedronki miały nadzwyczajny stosunek jakości do ceny.

Był też rok wielkiej nawałnicy. Woda spłynęła, asfalt zniknął pod warstwą lessu, gałęzi i piasku. Przez cały sierpień wiatr wzbijał żółte obłoki.

I był rok, kiedy w spożywczym, tym najbliższym, pojawiła się gazeta o żydowskim robactwie i o tym, jak poznać Żyda. Wdaliśmy się w bezsensowną dyskusję z właścicielką. Już tam nie kupujemy chleba, mleka ani ciasteczek. To raczej nie zachwiało ich biznesem.

NIKTÓRE LATA PAMIĘTAM Z IMIENIA. Na przykład 1990. Gazetę sprzedawali w piekarni. Przeczytaliśmy o inwazji na Kuwejt. Emir uciekł do Arabii Saudyjskiej, zbierała się Rada Bezpieczeństwa, w radiu opowiadali o wcześniakach wyrzucanych z inkubatorów. I nic jeszcze nie wiedzieliśmy o Gromosławie Czempieńskim.

Rok później był pucz w Moskwie. Junta. Facet nazwiskiem Starodubcew, co jednak było zabawne mimo całej grozy sytuacji. Potem czołgi, tłumy, zabici. Przemawiał Borys Jelcyn. Ochroniarz zasłaniał go małą teczką. Pamiętam zdjęcie Mścisława Rostropowicza z pistoletem maszynowym. I że ciągle coś mówili o dywizji tamańskiej.

W 2012 mieliśmy już internet. Słuchałem transmisji z procesu Pussy Riot. Był upał. W sadzie dojrzewały jabłka. Nie wszystko rozumiałem. W Moskwie też był upał. Masy gorącego powietrza zalegały nad całą wschodnią Europą. Oskarżone dziewczyny trzymali w klatkach, ktoś zemdłał, adwokat nie budził zaufania. Brak zasięgu. Do ostatniej chwili nie mogłem uwierzyć, że dadzą im po dwa lata obozu.

W 2019 sprawdzałem kanały w Telegramie. Podawali informacje o liczbie zatrzymanych w Moskwie. Adwokaci udzielali porad. Nie odpowiadajcie na pytania, powołujcie się na pięćdziesiąty pierwszy artykuł konstytucji.

Były gorsze daty. Sarajewo, Srebrenica, holenderskie błękitne hełmy, Milošević z twarzą powiatowego kacyka. Nasłuchiwaaliśmy stąd wojny w Gruzji, w Donbasie, w Syrii.

WIECZORAMI PRZECHODZĄ BURZE. Zazwyczaj nas omijają. Rozbijają się nad Dobrem lub wędrują nad Janowiec. Z łąki widać mętne błyskawice. Słysząc pomruk gromów.

Wystarczy wyjechać z miasta, żeby to zauważyć. Świat jest mały. Pod stopami mamy ziemię i kamień. Nad głowami biegną korytarze powietrzne i trasy ptasich wędrówek. Kraje są pozrastane jak syjamskie rodzeństwo. Wiatr przynosi dym z Syberii, piasek z Sahary. Woda wypłykuje skamieniałe muszle i karabinowe łuski. Za dwa tygodnie będzie święto cudownej figury. Ludzie znów podziękują za pomoc w odparciu tatarskiego najazdu.

Przylatuje sowa. Może kiedyś uda się ją sfotografować komórką. Wszystko jest blisko.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA PODCASTY:

ZAZWYCZAJ POLECAMY WAM w tej rubryce wydarzenia kulturalne, ale w tym miesiącu robimy wyjątek. Mamy ku temu specjalną okazję. Kiedy Wy będziecie czytać wrześniowe Pismo, my będziemy cyzelować odcinki pierwszego serialu reporterskiego audio. To pionierski projekt, którego jeszcze na naszym rynku nie było. Więcej o „Śledztwie Pisma” przeczytacie we wstępniku wydawcy. Pierwszy odcinek tej wciągającej historii opublikujemy już 18 października. Dla tych, którzy podcastów słuchają pasjami, i dla tych, którzy swoją przygodę z audio dopiero zaczynają, przygotowaliśmy specjalne wydanie „Rzeczy gustu”, w całości poświęcone internetowym słuchowiskom i programom.



Odbiornik

Polski krajobraz podcastowy jest coraz bogatszy. Dowodem na to *Odbiornik*, czyli podcast Dwutygodnik.com. Jego autorki, Agnieszka Słodownik i Anna Desponds, śledzą, jak nowe technologie wpływają na media, sztukę i ich odbiorców. W poszukiwaniu ciekawych wystaw oraz tematów jeżdżą po świecie i zapraszają do rozmowy uznanych w świecie kultury gości. Kopalnia inspiracji i przyjemność słuchania.

WIĘCEJ: soundcloud.com/dwutygodnik-com

Nagrywam dwa podcasty w piwniczce w Reykjavíku

Tak przedstawia się Joanna Okuniewska – najnowszą gwiazdą polskich podcastów. Niektórzy mówią o niej: „królowa”. Pierwszy z jej kanałów – *Tu Okuniewska* – to swego rodzaju pamiętnik, zbiór doświadczeń i przemyśleń o życiu. Drugi – *Ja i moje przyjaciółki idiotki* – nagrywany jest ku pokrzepieniu serc wszystkich tych, którzy kiedykolwiek postępowali irracjonalnie dla dobra związku. Już same opisy odcinków mówią wiele, czego możemy spodziewać się po tych nagraniach: O tym, jak byłam ekstremalnie bogata; O więzieniach w sześciu i o złamanym internecie; O tym, ile baranów mieści się na plecach, o paleniu spodni w kominku i o oddawaniu nerki. Tytuły związkowych perypetii przyjaciółek również działają na wyobraźnię: *Typ ze skręconym kręgosłupem*; *Typ toksyna*; *Instagramowe sytuacje*; *Sztuka pisania wymówek i wiarygodnych usprawiedliwień*.

WIĘCEJ: www.spreaker.com/show/tu-okuniewska



SiriusXM Talk Shows

Na największej platformie audio na świecie dostępne są programy podcastowe najpopularniejszych komików. Wśród nich również kanał znanego z ciętych ripost i sarkazmu Brytyjczyka Ricky'ego Gervaisa. *Ricky Gervais is Deadly Sirius* to „śmiertelnie poważna” audycja, do której komik zaprasza nie tylko kolegów i koleżanki po fachu, ale i innych gości, by porozmawiać na poważne tematy takie jak: konserwatywne spojrzenie na gender; sprawiedliwość społeczna i prawa LGBT; krępujące momenty, jak spotkanie swojego szefa na plaży nudystrów, rozlewianie herbaty przez nasze babcie; co by było, gdyby do studia wszedł właśnie Kim Dzong Un i wiele innych.

Słuchowisko 2.0

Przed premierą „Śledztwa Pisma” koniecznie posłuchajcie klasyki gatunku z Oceanu. *Serial* to podcastowy majstersztyk autorstwa amerykańskiej reporterki Sarah Koenig, która po latach wróciła do sprawy zabójstwa osiemnastoletniej licealistki z Baltimore. W kolejnych odcinkach dziennikarka bada tony dokumentów, akt, rozmawia z dziesiątkami osób, próbując odpowiedzieć na pytanie: kto zabił? Wśród jej rozmówców jest też były chłopak ofiary, który od kilkunastu lat odsiadyuje wyrok dożywocia. Sąd uznał, że to Adnan Sayed był sprawcą brutalnego mordu. Skazany podczas telefonicznych rozmów spod celi próbuje dowieść swojej niewinności. Słucha się tego jak rasowego kryminału – z wypiekami na twarzy.

WIĘCEJ: www.serialpodcast.org

Kup książkę

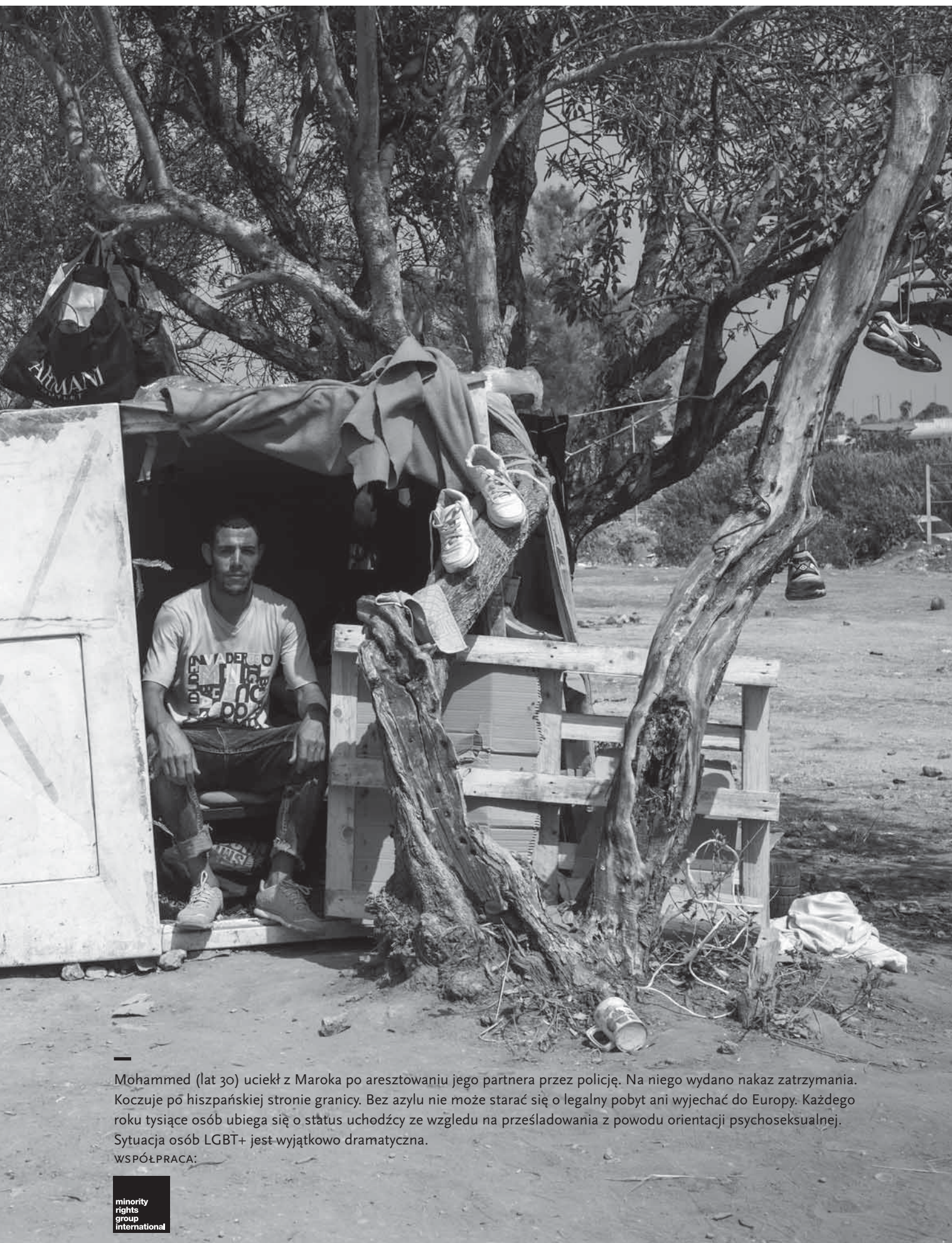
MIGRACJE

Maroko

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS



[Kup książkę](#)



Mohammed (lat 30) uciekł z Maroka po aresztowaniu jego partnera przez policję. Na niego wydano nakaz zatrzymania. Koczując po hiszpańskiej stronie granicy. Bez azylu nie może starać się o legalny pobyt ani wyjechać do Europy. Każdego roku tysiące osób ubiega się o status uchodźcy ze względu na prześladowania z powodu orientacji psychoseksualnej. Sytuacja osób LGBT+ jest wyjątkowo dramatyczna.

WSPÓŁPRACA:

minority
rights
group
international

[Kup książkę](#)

Co trzecie piętro

tekst ANNA CIEPLAK

JA. Ostrzegałam ją, tłumaczyłam, że nie może mnie zwolnić. Miałam za sobą wiele rozmów z dziewczynami z biblioteki, które zapewniały, że się za mną wstawią, w razie gdyby się odważyła. A ona mi na to sama, w gabinecie:

– Wiem, że się starałaś. – Robi przy tym oczy jak do *selfie*. Jaśniej, stają się proszące, zakochane w małym kwadraciku, przez który na siebie patrzy. Kiedy próbuje wytłumaczyć odmowę, załagodzić konflikt, bierze na litość i urok, bo nie umie być stanowcza, wiecznie tylko kręci. A tutaj już nie ma czego łagodzić. Będzie ostro, bo zaszła za daleko. Nie kłócimy się już o to, który projekt zakładkę do książek zlecić, jesteśmy na etapie końcowym. Zaraz wszystko się skończy. Ja zostanę z niczym, a ona ze wszystkim.

Próbuję zebrać ślinę, żeby na nią napluć, ale mam sucho w ustach i nie potrafię niczego zebrać od – dzisiaj mam wrażenie – piętnastu lat. Dlatego biorę pierwszą z brzegu książkę – jest to akurat najnowszy Krajewski – i rzucam w tę idiotkę, biorę drugą i rzucam raz jeszcze. Nie zdążyłam zobaczyć tytułu, po prostu celuję. Okładka jest twarda.

Chowa się pod biurko, więc próbuję jej dosięgnąć, odsuwam krzesło i schylam się, żeby zarzucić ostatni raz jakimś ambitnym tytułem. Do trzech razy sztuka. Nie drze

się, ale być może przez drzwi słysząc odgłosy przesuwanych mebli, upadających książek i drobnej szamotaniny, dlatego awaryjnie kieruję się do wyjścia, dodając przy tym:

– A ty się nie starałaś, bo zupełnie nie wiesz, co to znaczy.

Nie trzaskam drzwiami, żeby nie budzić podejrzeń. To koniec mojej pracy w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Ustroniu.

JA. Wejście do klatki Aliny wygląda jak na bieda-osiedlu strzeżonym. Takim, którego nikt tak naprawdę nie strzeże. Jest jak w *Parku Jurajskim* – wiadomo, że dinozaurowi i tak zrobią, co zechcą. Portier przeciera oczy i pyta, na które piętro idziemy – jakbyśmy mieli pójść tam razem. Lubię formę „my”, ale nie lubię „my” wypowiadanego w sposób podejrzliwy. Odpowiadam, że mieszkanie numer 51. Pyta też o klatkę, chociaż przecież wiem, gdzie weszłam. Sprawdzam w telefonie, bo przez jego pytania zdążyłam już zapomnieć. Cmoka, nie jest zadowolony z takiego stanu rzeczy, ale przepuszcza mnie dalej, pokazując na odręcznie sporządzonej mapce, gdzie mam wysiąść i w którą stronę się kierować po wyjściu z windy. Dowiaduję się, że koleżanka mieszka na jedenastym piętrze superjednostki. Decyduję się wejść pieszo.

Przewieszona przez ramię torba podróżna przy każdym kroku równomiernie uderza o moje uda, jakby mnie karała za wybór trudniejszej drogi.

Mijam drzwi na drugim piętrze, zza których dobiega głośna ukraińska muzyka i śmiech, przechodzę obok mieszkania numer 27, którego drzwi jeszcze pachną nowością. Na piętrze technicznym stoi przytwierdzony do barierki rower z napisem: „Proszę zabrać rower z drogi pożarowej, bo zostanie zezłomowany”. Na siódmym i ósmym piętrze widzę tabliczki oznajmujące: „Prosimy o ciszę. Nasz kot miał ciężką noc” i z rysunkami zwierząt, które są złe lub zmęczone – wcześniej kojarzyły mi się tylko z płotami działek w Rudzie z napisem „Zły pies” na nich. Tam złodzieje włamywali się, aby wynieść słoiki z przetworami, kosiarki i grille. Tutaj za drzwiami kryje się pewnie więcej, ale wcześniej nie miałam do czynienia z takimi komunikatami w bloku. Czyżby ten moloch miał w sobie coś z prowizorycznych domków?

Drzwi od mieszkania numer 37 otwiera właśnie kobieta z siatkami i przetrartą torebką, która może pamiętać targowiska z lat 80. Zaglądam do jej przedpokoju i czuję zapach smażonych placków ziemniaczanych. Kobieta mówi do mnie:

– Wczoraj miałam zawał.



Kiwam głową, a ona dodaje:

– Ale poszłam do pracy, bo to był mały zawał.

Jak widać, jest nas więcej. Wszyscy nosimy w sobie małe zawały. Żremy placki, mamy choroby wieńcowe, mówimy, że musimy wszystko zmienić w naszym życiu, a później dyszymy na schodach.

Widzę, że do klucza ma przypięty breloczek z George'em Michael'em.

– Uwielbiam go – dodaje, widząc, że mój wzrok zatrzymuje się na brokatowych spodniach idola. – Pierwszy biały mężczyzna, który zaśpiewał z Arethą Franklin. Do stałam od siostry ze Stanów. U nas nie ma takich.

Robię dwadzieścia dwa zakręty. Odnotowuję jeden klucz włożony w drzwi i przez moment waham się, czy nie zapukać i nie powiedzieć mieszkańcom, że o nim zapomnieli. Ale może tak po prostu ma być i lepiej nie ruszać.

ALINA. Wiem, że za chwilę będzie, bo na każdym kroku skrupulatnie wysyła mi sms-y. Jest na dworcu w Ustroniu, dojechała do Katowic, wysiadła, jeszcze wpadnie do Żabki, już jest obok klatki. Jak dziecko w drodze na pierwsze kolonie. Odsuwam więc na bok trawę rozsyaną luzem na stole, wsypuję ją pomiędzy kartki „Vogue'a”. Mam od dentystki z bloku archiwalne numery, które czasami roznoszę po sąsiadach. Muszę uważać, żeby tego komuś nie dać. Tak samo robię z krzyżówkami – uzupełniam je ołówkiem, a później zmazuję gumką, żeby nie wyrzucać, tylko podać dalej. Ogólnie podałabym dalej wszystko, wiąże się to z moją drobną paranoją: ciągle myślę, że jestem komuś coś winna. Muszę udowodniać w Europie – restauracji i barze mlecznym, które wyglądają jak egzotarium z lat 90. – że moimi działaniami podtrzymuję misję superjednostki – bloku utopijnego – którą jest tworzenie wspólnoty sąsiedzkiej. Ta misja pasuje do reklam wycieczek organizowanych przez wspólnotę mieszkaniową – do Bytomia albo na rejs po Kanale Gliwickim. W środy i piątki całkowicie za darmo rozkręcam w części restauracyjnej „Europy” imprezy taneczne. Jak jakaś ciotka, która mieszka w okolicy od lat i krąży o niej legendy miejskie.

A jestem tu dopiero od czterech lat i chyba nikt niczego o mnie nie wie, poza tym, że rozgrzewam ludzi do tańca jak nikt. Raz mi jeden facet po takiej imprezie zapomniiał o kulach i się śmialiśmy, że zrobimy przy barze ołtarz jak w Częstochowie. Wstał po Europie na nogi. Mnie też to miejsce postawiło na nogi, kiedy myślałam, że to już koniec.

JA. Kiedy docieram pod właściwe drzwi, ledwie łapię oddech. Witam Alinę piskiem brzmiącym jak powietrze uciekające z balonika, wydobywa się ze mnie coś pomiędzy „cześć” a „hej”. Usiłuję ukryć zadyszkę i przyspieszone bicie serca. Jestem przecież z gór, nie będę wjeżdżał windą. U nas w bibliotece też jej nie używałam, kojarzyła mi się z lenistwem i czekaniem.

Przytula się do mnie tak lekko, jakby chciała przelać się przez moje ręce, być swoim własnym duchem. Kuba – pies, który wygląda jak człowiek zamieniony w psa – wciska się pomiędzy nasze ciała. Jego imię potęguje wrażenie, że jest bardziej człowiekiem niż zwierzęciem. W pewien sposób nawet mnie peszy głośkanie go – to jakbym drapała po plecach starego mężczyzny.

W domu unosi się zapach kadzidełka, spod którego przebija woń marihuany. W ogóle na całej klatce pachnie jakoś dziwnie – pomieszanie zapachu zupy mlecznej, spalenizny i świeżo otwartego piwa butelkowego. Przyzwyczaję się. Zapomniałam już, że taki zapach istnieje, chociaż przyjeżdża do nas wraz z każdym obozem narciarskim czy studentami, którzy twierdzą, że przejdą Główny Szlak Beskidzki, a docierają na Babią Górę i tam ich przygoda się kończy. Bo Beskidy to niby nic – góry rodzinne i niedzielne, niemal wybrukowane. Ludzie już powoli przestają tam sobie mówić „Dzień dobry”, bo musieliby robić to bez przerwy. Okazuje się jednak, że Beskidy to też zdarte buty, odciski i zabójcze pioruny na szczycie Babiej.

Alina częstuje mnie herbatą i kładzie na stole tartę ze szpinakiem. Widzę, że sama upiekła, bo wyjmuje ją przy mnie z brytfanki.

– Ty na piechotę, a ja jeżdżę tylko windą numer III.

– One mają numery?

– Trójka to ta druga po prawej, przy oknie. We wszystkich innych już kilka razy się zacięłam.

– Nie znoszę wind.

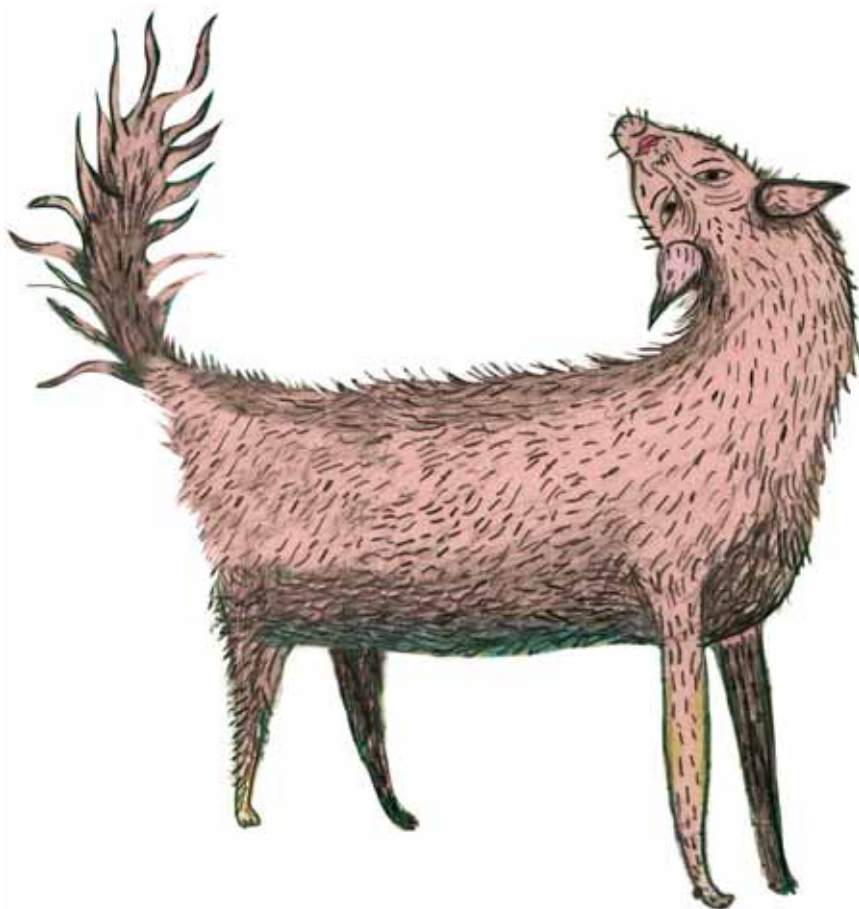
– Ja lubię w nich tylko to, że jednego dnia wydaje ci się, że wjeżdżasz pół godziny, a innego – kilka sekund. Nie wiem, jak to się dzieje, że one zakrzywiają czas. Albo dlaczego towarzystwo niektórych osób wydaje się w windzie neutralne, a innych – tak krępujące, że ciężko przy nich przełknąć ślinę. W windzie jednych sąsiadów poznajesz od razu, a do drugich nigdy się nie odzywasz.

Dowiaduję się też od Aliny, że pytanie o piętro i klatkę portier standardowo kieruje do nowych. Jest tu dużo agencji towarzyskich i innych bardziej lub mniej ukrytych punktów usługowych – hostel, wróżka, fotograf – a oni chyba prowadzą na dyżurze jakieś archiwum X portierów, żeby łatwiej rozpoznać się, kto jest kim w tym skomplikowanym układzie pięter. Poza tym w każdej klatce jest taka sama numeracja i łatwo można się znaleźć pod drzwiami 5r, ale u kogoś innego.

Chwilowo mamy więc o czym rozmawiać, bo blok jest dziwny. Winda zatrzymuje się tylko co trzy piętra, co samo w sobie nadaje miejscu specyficzny rytm. Nie łączy nas oczywiście przesadnie dużo wspólnych tematów, ale omawianie miejsca, w którym jesteśmy, pozwala zrobić rozgrzewkę, zanim poszukamy punktów zaczepienia do dalszej rozmowy. Takich na przykład jak koleżanki z technikum hotelarskiego. Alina ma kontakt z większą ich liczbą niż ja. Wygrywa pięć do jednego. Ja utrzymuję kontakt tylko z Aliną, ona wie, co słychać u czterech innych koleżanek.

Pytam o jej pracę, tę, o której wspominała, kiedy widziałyśmy się ostatnim razem, ponad dwa lata temu:

– Gotuję i przynoszę obiady do mieszkań. Głównie w centrum. Wiesz, ile osób mieszka tylko w samym tym bloku? – Odpowiada, zanim zdążę zgadnąć i przemnożyć w głowie liczbę pięter przez liczbę klatek: – Ja też nie wiem dokładnie, bo mamy sporą rotację. Ale są tu 762 mieszkania i wynajmują je zarówno robotnicy i studenci – po pięciu na lokal, jak i samotne kobiety czy mężczyźni. Na początku lat 70. mieszkali tu całymi rodzinami. Pół roku



temu obesłałam wszystkie mieszkania z pytaniem, czy domownicy chcą, żebym im gotowała, dzięki temu zobaczyłam chociaż po skrawku każdego domu. Zgodziło się trzynaście osób. Dodatkowo robię im też zakupy w „Społem” na dole. Mam wrażenie, że codziennie ktoś się wyprowadza albo umiera. Przynajmniej raz w tygodniu ktoś znosi meble pod śmietnik. Z moich klientów nikt jeszcze nie umarł. A jeśli tak będzie, to pewnie dowiem się pierwsza.

Kiwam głową. Wielkie budynki kojarzą mi się nie ze śmiercią, a z turystami. W sumie to zabawne, że wszyscy jesteśmy z Rudy, a wylądowaliśmy w kosmicznych miejscach. Mieszkamy w budynkach, które są jak pamiątki po cywilizacji pozaziemskiej. Alina ma swoją superjednostkę i Spodek, a my z Jankiem piramidy. To potoczna nazwa kompleksu charakterystycznych, trójkątnych budynków położonych na zboczu Równicy. W założeniu miało ich powstać dwadzieścia osiem, ostatecznie jest siedemnaście, z czego większość stanowią hotele i budynki sanatoryjne.

Często podbiegam blisko piramid i wiem, że staję się wtedy obiektem obserwacji przyjezdnych, jak lokalne ptactwo. Wolę

dolną część miasta od górnej, gdzie panuje wieczna stagnacja. Ludzie wylegujący się na balkonach pomiędzy śniadaniem, obiadem, podwieczorkiem a kolacją mają czas na niepotrzebne przemyślenia. Są w takim wieku, że raczej już nie powinni mnie osądzać, ale mogą snuć różne domysły na temat tego, kim jestem. Ja mogę za to patrzeć, jak są ubrani, jak się zachowują, o czym mówią i czy robią oborę w restauracjach na dole. Żyjemy dzięki ich pieniądзом, ale to nie znaczy, że mogą wszystko.

– U nas w domu gotuje mąż, zupełnie się na tym nie znam.

Janek przynosi zwykle obiady z hotelowej stołówki, gdzie pracuje. To prawie jak gotowanie. Czasami – gdy jakimś cudem trafi nam się wspólny wolny weekend – idziemy w góry i jemy w schroniskach, gęsto rozsiansych po szczytach Beskidów. Oczywiście mamy świadomość, że wchodzenie na Czantorię w niedzielę – kiedy buty górskie z czerwonego szlaku mijają się z eleganckimi czułenkami, które ktoś zakłada na przejażdżkę kolejką linową – nie jest kontaktem z absolutem i esencją życia w mieście otoczonym górami, ale po prostu wycieczką ocierającą

się o kicz górski. Ja trochę to lubię, Janek mówi, że nie chce już znosić w czasie wolnym zapachu „tych” ludzi. Tak jakby sam do nich nie należał, jakby nad branżą hotelarską wisiała pogarda dla każdego, kto nie jest tutejszy.

– Ludzie lubią dania, które jadaliby w szkolnych stołówkach. Pod koniec życia wracają smaki. Chyba je w jakiś sposób odtwarzam.

Czyli my z Jankiem powoli umieramy, od kiedy przynosi obce obiady do naszego domu? Skąd Alina może wiedzieć, co czują pod językiem osoby, które znały jeszcze warzywa i owoce sprzed ery modyfikacji i sztucznych barwników? Może tak samo było ze mną i z książkami w bibliotece – wydawało mi się, że polecałam same najlepsze lektury, tymczasem czytelnicy ledwie je przetykali.

– A trzeba mieć jakiś sanepid? – Wolę zmienić temat, niż zastanawiać się teraz nad tym, co i jak jem. Poza tym lubię kruczki, na które potrafią natrafić tylko zodiakalne panny. Zawsze tropiłam błędy w naszej bibliotece, nazywam samą siebie śmieciarką, która zabiera wszystko, o czym inni chcą zapomnieć.

– Nie wiem, nie mam zarejestrowanej działalności. W sumie to od śmierci Krzysztofa jestem na bezrobociu. Miesięcznie zarabiam na tym tyle, że nie muszę już robić nic więcej. Mam stałych klientów. W mieście jest sporo takich osób, trzeba tylko umieć się zorganizować i nie wchodzić w drogę „Europie”. To taki bar mleczny, gdzie jest taniej niż u mnie, ale oni za to nie rozwożą posiłków.

Nie chcę naciskać na temat męża. Słyszałam. Sama mówiła, kiedy była u nas ostatni raz. Nazywa Krzyska „Krzysztofem” – nie przypominam sobie, żeby wcześniej używała takiej formy. Może zdrobnienie zbyt ją rozczula, a może to przypadkowe określenie, którego użyła tylko dzisiaj. Postrzelony na służbie w Rudzie Śląskiej. Tam, gdzie Górnik Zabrze i Ruch Chorzów walczą o mury. Tam, skąd pochodzą moi rodzice, ja, Alina, Janek i popularni sataniści z bunkrów, których kiedyś wszyscy się bali, a teraz robią o nich filmiki na YouTube, żeby przyciągnąć miłośników *urban exploration* do lasu w Rudzie Śląskiej. Alina zaraz po śmierci męża przeprowadziła się do

Katowic. My już od kilku lat mieszkaliśmy wtedy w Ustroniu. Dorosłość nam przypadała na inne miejsca.

Nie przyjechałam na pogrzeb. Nawet się jej z tego nie wytłumaczyłam. Bywamy na grobie jej męża na Wszystkich Świętych. Ma ciągle duże wzięcie. Niemal całą mogiłę zakrywają znicze. Już nie żywe kwiaty – te kładzie się głównie na początku, kiedy częstotliwość odwiedzin pozwala na szybkie wymiany. On ma już plastikowe lilie – drugi etap zainteresowania, który potrwa kilka lat. Później nadejdzie trzeci – znicze okazjonalne.

Kiedy Alina chowała Krzyśka, ja organizowałam wielką konferencję dla bibliotekarzy. Było mi głupio tłumaczyć, że nie przyjadę na pogrzeb, bo robię coś takiego.

Sprawa męża Aliny wydawała mi się strasznie delikatna – nie wiedziałam, czy można ją ruszać. Dopiero później uświadomiłam sobie, że przez takie wydarzenia przechodzi się jak przez sen. Nie czuje się, zupełnie się nie czuje, że nas dotyczy. Czujemy się jak nie my, a ktoś, kogo oglądamy. Jak taka śmierć może spotkać kogoś, kto codziennie rano je to samo na śniadanie, nie wyjeżdża w żadne ciekawe miejsca, nigdy nie zrobił niczego szalonego i zna daty najważniejszych rozliczeń, na słowo ZUS kiwa głową i prowadzi kilometrowe rozmowy o odkurzacach?

Sama po poronieniu chodziłam na cmentarz codziennie, później raz w tygodniu, teraz raz w miesiącu. Ludzie mówili mi wtedy „dzień dobry” przyciszonym głosem. Pewnie Alina zносиła to samo, a co więcej, musiała nadal wypowiadać imię Krzyśka. Nikt nie wiedział, jak miała na imię moja córka.

Alina też nie skomentowała tej sytuacji. Miałśmy więc jeden do jednego. Zaległe dramaty, które przeszliśmy same. Śmierci bez komentarza.

Przyglądam się Alinie, gdy rozplata swój warkocz. Włosy wystarczą, aby zapamiętać ją już przy pierwszym spotkaniu. Rzadko mówię komplementy, ale ten przychodzi sam:

– Świetnie sobie radzisz.

Zaraz po jego wymówieniu robi mi się głupio. Zabrzmiało, jakbym się wywyższała i przyjechała wystawić jej ocenę za życie po śmierci Krzyśka. Chyba rozumie – cho-

ciaż jeszcze niczego właściwie nie powiedziałam – że mam na myśli coś innego, że mam na myśli to, że ja sobie nie radzę, a ona tak. Kiwa głową i rzuca:

– Jak ty.

To „jak ty” uderza mnie siłą rażenia nieprawdy. Dopada mnie przez to zmęczenie połączone z gonitwą myśli o dyrektorze i jeszcze kilka innych wolno latających demonów. Ciągłe się zastanawiam, jakimi książkami mierzyłam w jej stronę – jakbym miała na tej podstawie przewidzieć swoją przyszłość.

Będę spała w dużym pokoju, Alina w mniejszym – sypialni. Nie oddaje mi swojego wygodnego łóżka, chociaż wypadałoby odstąpić gościowi lepszą część domu. Może Alina potrzebuje przestrzeni do ukrycia się. Zakłada, że przyjechałam tutaj zagrać w otwarte karty – żeby jej coś powiedzieć, a nie tylko podryfować na powierzchni jej mieszkania. Nie wiem jeszcze, jak mam wrócić do Ustronia, i czy liczba trzy będzie ze mną dalej. Pasują do tego te cztery windy wydające z siebie dźwięki jak kutry rybackie. Zatrzymują się tylko co trzecie piętro. Tyle wiemy o innych – nie mamy pełnego obrazu, widzimy tylko co trzecie piętro. Albo i mniej.

— ALINA. Kiedy już wydzielam jej łóżko w dużym pokoju, upewniam się, że leży, i wy-

chodzę przez okno w sypialni na balkon. Tak, żeby jej nie mijać na kanapie w gościnnym. Przyglądam się miastu, jakbym miała mu wystawić ostatnią ocenę na booking.com. Dobry widok, obsługa umiarkowana, wygodnie. W nocy wygląda jak kilka miejsc naraz – miejsc, w których nigdy już nie będę. Od strony zachodniej jak Izrael, od południowej jak Ruda Śląska. Widzę, że naprzeciwko miga światło – jedno z mieszkań nadaje do mnie alfabetem Morse’a. Mężczyzna wchodzi do pokoju, włącza światło i wychodzi na balkon. Kobieta kręci się po mieszkaniu, jakby liczyła jego kroki, gasi światło. Kiedy Krzysztof żył, mogliśmy wyglądać podobnie. Wieloletnie związki tak mają – jak uprzejme mijanie się na dwóch osobnych pasach autostrady. Ktoś mógł nas oglądać w takich chwilach, które ja widzę teraz. Tam były jednak niższe bloki i dłuższe zasłony. Tutaj ich nie ma, bo każdemu się wydaje, że niczego nie widać z bloku naprzeciwko. Większe miasto daje większe złudzenia. Wychylam się przez barierkę i myślę, co przemawia za wyskoczeniem, a co przeciw. Przeciw: koleżanka z młodości, która coś ukrywa, i kilkanaście obiadów, które muszę rano ugotować dla klientów. Za: kusząca przestrzeń. Kto by nie chciał wylecieć z okna w takim mieście?



rysunek SZTUCZNE FIOŁKI

Kup książkę

POEZJA

Werdykty

KRZYSZTOF SIWCZYK

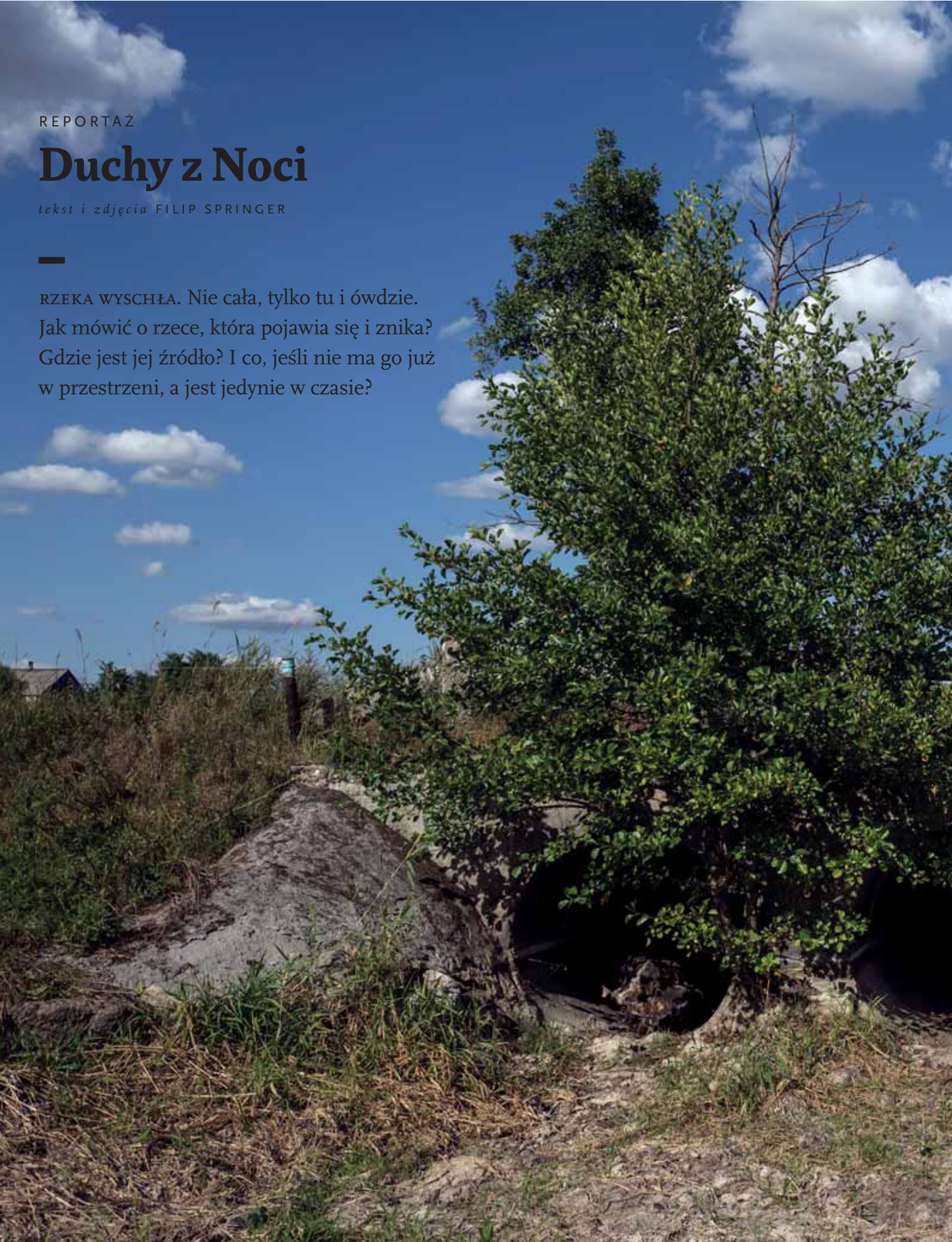
—

Na autostradzie, w konwoju stoi słońce, cienienie
 obejmuje kabinę, miga nieustannie ekran, wiesz już,
 że to werdykty, przeczuwasz, co wiedziałeś, zdarza się
 oczekiwanie, zaklinany zawczasu wypadek losu perli
 ci dłoń, gdy podnosisz do oczu zdawkowy zapis fatum,
 równoważnik zdania trzaska jak kości w blasku ran,
 tracisz z oczu symetrię pasów, wyobrażasz ją sobie teraz,
 samą w innej ciemności, pozbawioną dawnych zdolności,
 słyszysz w słuchawce głos słabnącej zgody, zjeżdżasz na pobocze,
 palisz długo, patrząc na śpiącą w foteliku córkę, żona w popłochu
 biega między wiatami, opuszczasz głowę, przekazujesz znak ziemi,
 żeby ruszyć dalej, twoje stopy stoją w miejscu, w pustym pokoju
 twoje usta powtarzają jej słowa zapewnień, Ananke.

KRZYSZTOF
SIWCZYK

(ur. 1977), poeta, eseista, prozaik. Autor wielu tomów wierszy i paru książek o innym charakterze gatunkowym. Ostatnio opublikował tom *Mediany* (Wydawnictwo a5, 2018) i prozę *Bezdech* (Austeria, 2018). Prezentowany wiersz pochodzi z tomu *Osobnik*, który ukaże się w przyszłym roku. Mieszka w Gliwicach.

[Kup książkę](#)



REPORTAŻ

Duchy z Noci

tekst i zdjęcia FILIP SPRINGER

RZEKA WYSCHŁA. Nie cała, tylko tu i ówdzie.
Jak mówić o rzece, która pojawia się i znika?
Gdzie jest jej źródło? I co, jeśli nie ma go już
w przestrzeni, a jest jedynie w czasie?

[Kup książkę](#)



[Kup książkę](#)

Myślę o jej niewzruszeniu. Pływała w gorącej od upału kałuży jak w zupie na dnie garnka. Ryba zła-pana w siatkę albo na haczyk wije się, próbuje uciec. Jest w tym trzepocie nadzieja na oswobodzenie się. Tamta, też przecież w pułapce, zachowywała spokój. Tłumaczę sobie, że na nic nie czekała, nie wyobrażała sobie żadnej przyszłości, bo wyobrazić jej sobie nie umiała. Że to do cholery zwykła, bezrozumna ryba. Że przecież nie chodziło o zachowanie jakiegokolwiek godności.

Ale może po prostu chodziło tylko o to, że ryby nie umieją wyć.

Obsesyjnie myślę o tym, że ona też mogła się bać.

CHOĆ OSTRZEŻENIA, że Noteć wysycha, słychać było w regionie już od ponad dekady, dopiero w marcu 2017 roku ogólnopolskie media po raz pierwszy podniosły alarm. Grupa ekologów ze stowarzyszenia Eko-Unia zorganizowała wtedy protest przeciwko nowej odkrywcze węgla brunatnego w Ościsławie, na pograniczu Wielkopolski i Kujaw. Trzysta osób utworzyło żywy łańcuch, niektóre były ubrane w koszulki z napisem „Oddajcie nam naszą wodę”. Przesłanie było jasne: wielkie dziury w ziemi powodują powstanie leja depresyjnego, do którego spływa woda z całej okolicy. Wysychają pola, lasy, studnie, jeziora, rzeki.

Wcześniej, w 2010 roku, fotografowałem tę katastrofę w okolicach Konina. Józef Drzazgowski, ekolog z Przyjezierza, siadał ze mną nad mapą i pokazywał jeziora i stawy, które wyschły. Były ich setki. Jeździłem po okolicy i fotografowałem pomosty zarośnięte krzakami i porzucone z dala od brzegu łodzie. Woda spod nich po prostu uciekła. Ale wtedy, poza grupką lokalnych dziennikarzy, nikt nie interesował się wysychającym pojezierzem.

Hasło protestu nad Notecią chwyciło. To w końcu siódma rzeka w Polsce (391 kilometrów długości), którą każdy pokazywał na mapie podczas lekcji geografii. I co, teraz wyschła? To nie takie proste.

widziałeś? Ja już nie patrzę. Odwracam głowę, serce się ściska. Ledwie go woda opływa. Dziś i tak jest dobrze, coś płynie, można podawać. Jedź pan w górę, do źródeł, to już tam ino krzaki i skorupy po małżach leżą. Krowy po dnie rzeki chodzą. Ale jedź pan, bo tutaj to jeszcze plusk słychać, można uwierzyć, że jest, jak było. A nie jest. Odjedziesz kawałek, a tam nic, ino cisza. Cisza i duch po rzece. I my jak te duchy, cośmy tu jeszcze zostali.

Noteć nie znikła jednak cała, choć dobrze to brzmi w serwisach informacyjnych. Jej bieg jest nieoczywisty. Rzeka przepływa przez jeziora, dzieli się na odnogi, gubi w wykopanych przez człowieka kanałach. Czerpie wodę z wielu źródeł, tylko na początku musi sobie radzić sama. Górny, najmniej uregulowany bieg kończy się kilkanaście kilometrów na południe od Piotrkowa Kujawskiego, w Kanale Ślesieńskim między miejscowościami Koszewo, Noć i Kalina. Trudno odnieść tu wrażenie, że rzeka ma jakieś kłopoty – wpada do kanału z radosnym chlupotem.

Ale od źródła do miejsca, w którym stoję, ma do pokonania najtrudniejszy odcinek. To on wysycha. Bez kanałów i większych dopływów Noteć może tu liczyć tylko na wodę, która spłynie do niej z pól i kilku niewiel-

kich jezior. A to jeden z najsuchszych regionów Polski, drenowany dodatkowo przez wielkie kopalnie. Właśnie dlatego tutaj zaczynam mój drugi etap wyprawy w przyszłość – śladem konsekwencji katastrofy klimatycznej. Przejadę na rowerze blisko sto pięćdziesiąt kilometrów, będę błędził i kłuczył między wsiami, ciągle w górę Noteci, szukając jej początku.

OBORY, MŁYN (62 KILOMETRY DO ŹRÓDŁA). – Pan z Warszawy jesteś? To gorzej masz. Im większe miasto, tym prędzej zginie. Za dużo darmozjadów. Nie poradzą sobie, jak się natura o sprawiedliwość upomni. A że się upomni, to pewne. Nie żaden Bóg, tylko natura. Ona jest nad Bogiem. I wy tam w tych miastach pierwsi poginiecie. Bo i o Bogu zapomnieliście, i o naturze. Zapominaliście już wszystkiego. Czego? No to pokaż pan, gdzie północ. O, dobrze pokazałeś! Ale na rowerze jedziesz, na mapę patrzysz, to wiesz. Ludzie nie wiedzą. Myślałem, że im to niepotrzebne. Ty mnie pytasz, po co komu wiedzieć, gdzie północ? No i sam pan widzisz, niby wiesz, a nie wiesz, po co wiesz. Żeby wiedzieć, gdzie się na świecie jest! No, ja panu dobrze radzę, uciekaj pan z miasta, póki możesz. Dokąd?



KOSZEWO, UJŚCIE NOTECI DO KANAŁU ŚLESIEŃSKIEGO. OKOŁO 64 DO ŹRÓDŁA. – Noteć? Noteć? Noć nasza? No schnie. Wodowskaz

Im większa dziura, tym lepiej. W dziurze można się schować, w dziurze łatwiej przetrwać. A przynajmniej dłużej. Nas wywłaszczyli po wojnie. Rzuciło nas aż nad Noć. W czterdziestym ósmym się urodziłem. I wtedy tatuś młyn pobudował. O, tu jest data, zobacz pan. Więc ten młyn ma tyle lat co ja. I tak sobie żyjemy, młyn, ja i Noć. Noć ma się z nas trzech najgorzej. Mówisz pan, że coś tam płynie? No płynie, ale woda z odkrywki kłamstwo to jest, nie rzeka. Dyrektorem się w kopalni coś odwidzi, puszcza inaczej i nie płynie. No to sam pan powiedz, co to za rzeka, co od widzimi się dyrektorów zależy?

— ZABOROWO (60 KILOMETRÓW DO ŹRÓDŁA). Zaczynam rozumieć, że to, co widziałem u ujścia Noteci do kanału w Koszewie, ten plusk, który słyszałem wyraźnie nieopodal młyna w Oborach – to wszystko była ścieżka, a nie żadna rzeka. Kawałek za młynem odbiłem na chwilę w lewo, chciałem popatrzeć na rzekę z mostka przed Zaborowem. Płynie, można się nabrać. – Do Pichny puszczają z kopalni, a Pichną do Noci leci – słyszałem, gdy wyjeżdżałem z Obór. A tak się składa, że struga Pichna wpada do Noteci nieopodal mostka, na którym stoję. Jej bieg zaczyna się kilkanaście kilometrów na północ wielką, ziemistą plamą odkrywki Tomisławice i przepompownią, wyraźnie widoczną nawet na zdjęciu satelitarnym. To właśnie Pichną spływa woda zrabowana z całej okolicy przez Kopalnię Węgla Brunatnego Konin (należącą do Grupy Kapitałowej ZE PAK, czyli Zespołu Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin).

— NYKIEL (56 KILOMETRÓW DO ŹRÓDŁA). Byłem tutaj w marcu. Przyjechałem z Rasmussem Degnbølem, duńskim fotografem, któremu pokazywałem polskie odkrywki węgla brunatnego. Wtedy w Nyklu płynęła woda.

Teraz jej nie ma.

Zatrzymuję się na mostku i nie mogę uwierzyć. Koryto jest wyschnięte na wiór, w zagłębieniach dna widać dziesiątki mu-



szli wodnych ślimaków. Schodzę z mostu. W przepuście tylko piach. Idę suchym dnem koryta. Jest szerokie i na środku niezarośnięte. Kawałek dalej znajduje się gospodarstwo. Wtedy, w marcu, rozmawiałem z jego mieszkańcami. Zapewniali, że to całe wysychanie Noteci to jakiś wymysł ekologów. Że to się nie zdarza, żeby rzeka zniknęła, przecież była od zawsze. Idę tam.

– Noteć wyschła – mówię, gdy do bramy podchodzi ten sam mężczyzna co wtedy.

– Ano co roku wysycha – odpowiada. – Bywa, że jej kilka lat pod rząd nie ma, wraca na chwilę, a potem znowu schnie.

– W marcu też pytałem pana o Noteć. Mówił pan, że to wysychanie to bujda.

Przygląda mi się przez chwilę. W końcu twarz mu się rozjaśnia.

– Z Anglikiem jakimś pan byłeś, coś kojarzę. Tyle że wtedy autem...

– Z Duńczykiem, nieważne. Czemuście mi wtedy powiedzieli, że Noteć płynie? I że bardziej się trzeba martwić, żeby nie wylewała?

Milczy przez chwilę, drapie się w głowę.

– A bo to nasza Noć, wstyd by był na cały świat, jakbyśmy przy obcym powiedzieli, że nam zniknęła. Żeśmy jej nie upilnowali. Panu to powiem, boś pan nasz. Ale na zewnątrz nic złego, ani słowa. Płynie, jak płynęła.

— IM BLIŻEJ ODKRYWKI, tym krajobraz bardziej ponury. Droga biegnie tu w pewnym oddaleniu od rzeki, czasem zerkam w tamtą stronę i widzę coraz więcej suchych pni wystających ponad zbitą masę krzaków porastających koryto. W Łysku (50 kilometrów do źródła), rzut beretem na północ od Sompolna, woda stoi pod mostem i zarasta zieloną rzęsą. Rzeka niby jest, ale co to za rzeka, gdy da się wejść dwa razy do tej samej. Dalej jadę wyremontowanymi przez kopalnię drogami i mijam wielkie ciężarówki wiozące urobek z odkrywki. W oddali słychać pomruk koparek, klekot taśmociągów, wycie kopalnianej syreny. W kolejnych wsiach widzę domy do kupienia. Wincetowo, Synogać, Orle. Można przebierać w ofertach. Przed niektórymi budynkami jeszcze kręcą się ludzie, ale większość jest zamknięta na głucho. „Kup mnie, będziesz tu szczęśliwy” – widzę na jednym z banerów.

W Byczu można kupić i dom, i sklep.

– Tylko kupować nie ma komu. Ani w sklepie, ani sklepu – mówi mi kolejny duch, który wyłania się z cienia rozłożystego kasztanowca.

– Przez odkrywkę? – pytam.

– Chuj tam z odkrywką – spluwa. – Studnie powysychane, pola spalone. Patrz pan na kukurydzę, jeszcze nie weszła, a już po-

Tekst jest częścią cyklu **Zmiana klimatu już tu jest**.
Mecenasem cyklu jest Santander Bank Polska,
oferujący profesjonalną obsługę klientów Private Banking.

 **Santander**
Private Banking

Kup książkę

marnowana. Ona powinna mieć teraz ponad dwa metry, a ledwie mi piersi sięga. Noć pan widziałeś?

– Czyli przez odkrywkę?

– Dla mnie to jedno przez co – macha ręką. – Wody nie ma. A bez wody żyć się nie da.

—
ODBIJAM OD NOTECI NA PÓŁNOC i dojeżdżam do Stawisk. Między 16 a 21 lipca odbywa się tu Obóz dla Klimatu. Blisko tysiąc aktywistek i aktywistów przyjechało zaprotestować przeciwko kolejnym kopalniom i uzależnieniu Polski od węgla. Mijam rozstawione na polnych drogach furgonetki z policjantami w pełnym rynsztunku. Gdy dojeżdżam na miejsce, obóz szykuje się do nocy, gdzieś gra gitara, z kuchni brzęczą myte gary, pod dużym namiotem kapela stroi instrumenty przed koncertem. Rozwieszam między drzewami hamak, zawijam się w śpiwór i w świetle latarki porządkuję notatki.

Następnego ranka pakuję rzeczy na rower, a oni ubierają się w białe kombinezony i rozpoczynają marsz w stronę odkrywki. Kilka godzin później policja użyje przeciwko nim pałek i gazu łzawiącego. Jednej aktywistce funkcjonariusze złamią obojczyk, powalą też na ziemię fotoreportera „Gazety Wyborczej” i uniemożliwią mu pracę. Wszystko to w obronie interesu koncernu węglowego ZE PAK, którego większościowym udziałowcem jest Zygmunt Solorz-Żak. To nie pierwszy raz, gdy państwo staje po jego stronie. W grudniu 2017 roku Ministerstwo Środowiska i Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska przyznały, że to właśnie kopalnie odkrywkowe w rejonie powodują wysychanie rzeki i jezior. Zapowiedziano wielki państwowy program sztucznego zasilania Noteci w wodę. Miał kosztować podatników sto trzydzieści milionów złotych. Tymczasem opłaty eksploatacyjne, jakie ZE PAK odprowadza za węgiel z pobliskich Tomisławic, nie przekraczają dwóch milionów złotych rocznie. Realizacja programu cały czas jest odsuwana w czasie. Na razie nie wyszła poza fazę koncepcji i planów.

—
TRZY KILOMETRY PCHANIA ROWERU przez piach i kolejne nadnoteckie wsie. Mąkoszyn, Sierakowy, Janinów, Mchówek. Za-



Czasem woda jest, ale nie płynie; innym razem trudno ją dojrzeć w zarośniętym korycie, zdarza się, że na dnie jest jedynie piach. Oddalam się od odkrywek, a Noteci coraz mniej. To jeden z najrzedziej nawiedzanych przez deszcze regionów w Polsce.

trzymuję się na przepustach i mostkach. Czasem woda jest, ale nie płynie; innym razem trudno ją dojrzeć w zarośniętym korycie, zdarza się, że na dnie jest jedynie piach. Oddalam się od odkrywek, a Noteci coraz mniej. To jeden z najrzedziej nawiedzanych przez deszcze regionów w Polsce. W tym miesiącu ponad trzysta miejscowości w kraju wprowadziło ograniczenia w korzystaniu z wody. W promieniu trzydziestu kilometrów ode mnie takich miejscowości jest piętnaście. Kilka dni przed moim przyjazdem służby hydrologiczne ogłosiły suszę rolniczą dla wszystkich województw

poza małopolskim. Do początku lat 80. takie klęski przytrafiały się w Polsce średnio raz na pięć lat. Teraz zdarzają się co drugi rok. Po suszy rolniczej przyszła susza hydrologiczna. Oznacza to przepływy w rzekach niższe niż wieloletnie średnie. Długotrwała susza hydrologiczna przechodzi w suszę hydrogeologiczną. Tę odczuwają już wszyscy. Obniża się wtedy poziom wód podziemnych, przez co wysychają studnie, stawy, śródpolne oczka. Samorządom trudniej zapewnić wodę mieszkańcom. Słucham o tym w Pustkach (33 kilometry do źródła):

– Oczko wodne pan chce zobaczyć? Ale co tam fotografować? Wody nie ma. Dwa-dziesięć lat temu je wykopaliśmy, żeby teren osuszyć, bo tu nam wszędzie na gospodarstwie woda stała. Ot, dołek robiłeś i woda. Mokry grunt. Jak wykopaliśmy, to tam spływało. Były takie lata, że się przelewało. A teraz sam pan popatrz, ledwo co na dnie. No ale idź pan na wieś, zapytaj, kto tu dobry deszcz pamięta. W lipcu parę razy kapło i koniec. W czerwcu nic. No i teraz rolnicy kombajnami jeżdżą, posuchowe robią, ratują, co się da, ale niewiele z tego będzie. A rzeka? Był pan? To już nie rzeka. Myśmy chodzili się tam kąpać, plaża była, kąpielisko. Uważać trzeba było na głębię. A teraz? Do kostek jest tej wody? Nie wiem, ja już nie chodzę. Szkoła oczu wypatrywać.

W ŚWIĘTOSŁAWICACH (25 kilometrów do źródła) na przepuszczenie coś się wije środkiem przesuszonego koryta, ale żałość to jest, nie rzeka. W Gaju Stolarskim kończy się asfalt i zaczyna szutrówka. Chrząszczą opony, drobne kamyki grają na rowerowych felgach. Wjeżdżam w las. Po obu stronach drogi biegną rowy, które od czasu do czasu łączą się z większymi zbiornikami. Mała retencja, pewnie jakiś unijny projekt. W tych rowach i zbiornikach ma się gromadzić woda. Niemal wszystkie są jednak suche, na dnie niektórych słońce wyprążyło błoto na spękana skorupę. W innych utrzymują się jeszcze pozory wilgoci.

Tylko w jednym zbiorniku jest woda, a właściwie jej resztką połyskująca na mulistym dnie. Nie jest głębsza niż dziesięć, może piętnaście centymetrów. Wygląda jak kałuża, dałoby się ją przeskoczyć większym susem. Siadam na brzegu, wyjmuję bidon.

I wtedy ją dostrzegam. Łuska błysnęła na zielono, coś zafalowało. Nie jest mała, na pewno większa od dłoni. Nie umiem rozpoznać gatunku. Ryba musiała tu przypłynąć, gdy wody było więcej, albo wykłuła się już tutaj z ikry przywleczonej przez ptaki. Teraz czeka w wysychającej sadzawce na śmierć. Jest spokojna, próbuje pływać. W płytszych miejscach jej grzbiet wystaje ponad powierzchnię kałuży. Niedługo to potrwa.

Nie umiem się stamtąd ruszyć, nie wiem, co zrobić. Po co miałbym ją łapać? I tak nie miałbym jak jej przewieźć. Dokąd?

Do końca tej podróży nie przestanę o niej myśleć.

PÓŹNYM POPOŁUDNIEM DOCIERAM DO ZALESIA (14 kilometrów do źródła). – Mówią o mnie „ten, co za rowem mieszka”. No bo jak tak spojrzeć – to rów. Ale ja im wtedy odpowiadam, że tutaj żadnego rowu nie ma, tylko Noć. Ja ją jeszcze jako rzekę pamiętam. To wstążka wody była, aż tam, hen, daleko szła. Nie takie zarosnięte jak teraz. No ale kiedyś o to dbali. Wykaszanie było, na jesieni odmulanie. Trzech szło z jednej strony, trzech z drugiej. Noć miała jak płynąć. Bywały takie lata, że woda już się w niej nie mieściła i nas tu zalewało. Raz mi się nawet świnię w chlewie potopiły. Przyjechała tu niedawno jedna taka mądra, z Wód Polskich. „Będziemy pogłębiać” – mówi do mnie. „Mój ty Jezusku” – pomyślałem, toć to głupiej nie mogła wymyślić. Pogłębiać będą! No jak pogłębiać, skoro mosty i przepusty już dziś za wysoko są. To co? Obniżą je? A jak dno w Noci obniżą, to ta Noć już w ogóle nie będzie miała siły płynąć, nie ruszy, zastoi się, zgnije. Pogłębiać będą! Dobre mi sobie. Noci nie koparek trzeba, a wody! Powiedziałem jej, że jak ona chce nam Noć naprawiać, to niech najpierw do tej Noci głowę włoży.

ZA PRZEDECZEM (10 kilometrów do źródła) rozpościera się kolejna połać pól. Ten ich bezkres też dla Noteci jest nie bez znaczenia. Im mniej lasów i zadrzewień śródpolnych, tym dla wody gorzej. Im więcej wielkich gospodarstw, tym rzeki mniej. Woda na polu nie ma się gdzie zastać, skryć. Zbijewo-Kolonia (4 kilometry do źródła) błyska czerwonymi dachami ponad przesuszonym polem. Cała okolica wygląda jak sceneria kolejnej części *Dzieci kukurydzy*. Tylko dzieci brak.

– Co pan chcesz patrzeć na stawek, jak tam wody nie ma, już nawet błoto przeschło? Wykopałem dla koników, ale już będzie drugi miesiąc, jak w nim sucho. Zrobiłem w dnie dołek, myślałem, że się króliki napiją, że chociaż w tym dołku woda wyjdzie, patrz pan, jak pogłębiłem. No ale nie wyszła. Więc im noszę wodę ze studni, w studni jeszcze trochę jest. Ale ja się nie dziwię, w niebo co-

dziennie patrzę. I deszczu porządnego nie pamiętam. Śniegu też nie. Do źródła pan jedziesz? To jedź pan przez Mstowo, tam lepsza droga.

TA LEPSZA I TAK OZNACZA pchanie roweru. Opony grzęzną, piach sypie się do butów. Ale w końcu jestem. Przy źródle stoi tablica: „Ciekawostką geograficzną jest to, że jeśli spojrzysz za siebie (na północ), w odległości stu metrów zobaczysz rów. Woda z tamtego rowu wpływa do Jeziora Kromszewickiego, a stamtąd przez kilka rzek i jezior do Wisły – czytamy. – Woda z tego skrawka Ziemi Chodeckiej wpływa do Bałtyku za pośrednictwem dwóch największych polskich rzek odległych od siebie o około trzysta kilometrów. Stoisz na granicy dorzeczy Wisły i Odry”.

Tyle że źródło jest suche, podobnie jak ten odległy o sto metrów rów.

Żadna woda nigdzie stąd nie płynie. Wiatr unosi tumany piachu i rozrzuca po skoszonym polu. Nie ma rzeki, od samego początku jej nie ma. Może się nawet bez niej obejdziemy. Już się właściwie obchodzimy. Ale to nie znaczy, że bez innych też damy radę. Wisła w Warszawie już notuje niższy poziom od rekordowo niskiego sprzed czterech lat. Elektrownia w Kozienicach musiała wtedy wstrzymać pracę, bo w rzece było za mało wody do jej chłodzenia. W tym roku pracuje bez przeszkód, bo susza nie zbiegła się z falą największych upałów (te były w czerwcu). Ale prędzej czy później znów to nastąpi. Jest w tym nawet pewna ironia. Ten łańcuch konsekwencji, w którym wysychająca na skutek klimatycznej katastrofy rzeka uniemożliwia działanie elektrowni, która się do tej katastrofy przyczynia. *Blackout* jako kara.

Drogą idzie dwoje ludzi. Staruszka wspiera się o laskę, nieco od niej młodszy mężczyzna podtrzymuje ją za ramię.

– Kiedy woda w źródle Noteci była? – zagajam.

– Zimą coś było. Ale kiedy wcześniej, to ja nie pamiętam – mówi ona.

– Psy tam czasem polecą, mokre wracają, utyłane – dodaje on. – Ale czy one od wody w rzece mokre, czy raczej od rosy, to ja tego nie wiem. Wie pan, z tym początkiem Noteci to jest tak, że on tu kiedyś owszem był, a teraz tylko bywa.